Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po $1^1/_2$ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

26. Kwietnia 1856. №50. Rok trzeci.

Sejmik w lesie.

Ciąg dalszy.

— Mówcie jak myślicie.. zawołał Józef Lubasz, starając się głos swój mniej groźnym zrobić. Mówcie śmiało!.. nie bójcie się.

— Więc, wyście wiedzieli dobrze; spytałem rzeźnika że ci ludzie wam na przedaż przyprowadzali same kradzione bydło...

— No! ta skądżeby inaczej mieli, odrzekł rzeźnik; swoich nie mają, i pieniędzy także.

— A robiąc układ, pytałem dalej w pośród ogólnego milczenia, tak głębokiego, że słychać było na ognisku trzeszczenie palących się gałęzi sosnowych, nie wymówiliście nic sobie.

— A cóż miałem wymawiać.

— Żeby, kiedy wolno im było kraść cudze dla was, nie ukradli kiedy waszego bydła.

— Ba! krzyknął rzeźnik i zamilkł, a po chwili dodał bijąc się w głowę: Kiedy mi to na myśl nie przyszło.

— A kiedyście nie wymówili, i wiedzieli że oni kradną dla waszego pożytku, nic słuszniejszego, jak żebyście zapłacili za woły, przyprowadzone wam we czwartek, i oddali skóry nie wdając się w to, skąd oni ich dostali. Wszak oni więcej ryzykują kradnąc, jak wy co tylko kradzione nabywacie.

Ten ostatni argument trafił bardzo jak uważałem do wielu przekonania, bo słyszałem jak kilka głosów ozwało się pochlebnie:

— A to głowa nie do pozłoty.

— Będą ludzie z niego...

— Co za rozum!..

— Tęgi będzie ksiądz z niego.

Rzeźnika zaś, jak obuchem uderzyła uwaga, że sobie naprzód tego nie wymówił, i ciągle powtarzał, bijąc się w głowę coraz mocniej:

— Głupiec! głupiec ze mnie.. że mnie to do głowy nie przyszło.

— No, nie gniewajcie się Ignacy. Co się stało, to się stało. Skóry wam darujemy, a to co dacie za woły, to ot wspólnie przehulamy.

— Dobrze! dobrze, zawołali niektórzy ze szlachty, uradowani ze zgody, i chętni jakimkolwiek sposobem odwetować pokrzywdzonemu. Uważałem wszakże że niektórzy z przytomnej szlachty nie cieszyli się zupełnie i do krzyków stronnictwa otaczającego Józefa Lubaszę nie mieszali się.

— No, zgoda panie Ignacy.

— Zgoda! zgoda! wrzasnęło kilka głosów, aż się echo po lesie rozeszło.

— Ta cóż mam robić, zawołał rzeźnik.

Po wrzawie nastąpił łoskot i klaskanie, bo Józef i jego partja przychodzili z kolei do rzeźnika i jarmarkowym sposobem bili ręka w rękę. Było to bardzo czule, ale nie wiem jak to rzeźnik mógł wytrzymać.

Potem znowu obskoczyli mnie z wielką radością, i serdecznemi słowami. A ledwie mię nie udusili, tak mnie ściskali.

Nagle wystąpił stary Krzywdzic.

— Wygadaliście się, teraz mnie się należy staremu słowo, którego sami wezwaliście.

— Niema już o czem mówić, wyrzekł z niesmakiem pan Józef. Ot zgoda panowie bracia, wrzasnął głośniej.

— I jest bardzo o czem mówić! krzyknął stary głosem tak jeszcze silnym, jakiego by się po jego wieku trudno było spodziewać. Jest o czem... bo ja panowie bracia protestuję!..

— Co to, jak! krzyknęło wiele głosów, i krzyczący kupili się koło Józefa Lubasza. Na co tu nam protestacji!.. Chodźmy z tąd.

— Hola! panowie bracia, zawołały inne głosy. Stary Krzywdzic to nasz, to najstarszy i najpoczciwszy między nami. On pamięta naszych ojców, i naszych dziadów... i inne, dawne czasy.

— O wa, co nam do tego.. rzecz osądzona i ukończona.

— Niech gada nasz poczciwy Krzywdzic. Jego głowa mądra, i serce złote. My chcemy jego słuchać.

— Cicho tam krzykacze...

— Wy sami cicho!..

Gwar wszczął się na nowo ogromny, i zauważałem, że coraz liczniejsze robiło się grono tych co chcieli aby przemawiał stary.

— Cóż to, hałaburd szukacie, krzyczał Józef Lubasz, podnosząc potężne swe pięście.

— I my mamy piestuki!.. A przyjdzie do rozprawy to pokażemy że łatwiej w nocy kraść, zawołał równie prawie potężnym głosem, jakiś z grona przyjaciół starego, młody i wysmukły mężczyzna, i podniósł także pięście, które nawet przy pięściach Józefa Lubasza nie źle wydać się mogły.

— A spróbujmy.

— Cicho!... krzyknął znowu stary występując między grożące sobie stronnictwo, i rozkrzyżował ręce jakby ich od bójki wstrzymywał. Panowie bracia, ja stary proszę was o głos; wszak ten głos nie dziś po raz pierwszy się od-

zywa do was, i za was, i nie raz słuchaliście go. W imię naszej poczciwości szlacheckiej wzywam was, abyście mnie wysłuchali.

Zamilkł chwilę. I wszyscy zamilkli, mimowolnie ujęci uszanowaniem dla starca, z którego oczów mimo prostej siermięgi w tej chwili łyskał jakiś wyższy zapał.

— Powtarzam bracia, że protestuję przeciw sądowi i całej tej sprawie. I nie protestuję w mojem własnem imieniu, ale w waszem imieniu, w imieniu serc waszych. Bracia wy szlachta! nie zapominajcie tego... choć bieda was przygniata, ale my szlachta!.. A cudze brać to nie szlachecka rzecz.. to nie nam polskiej przystało szlachcie. Wy jeszcze młodzi, wy prawie wszyscy nie pamiętacie dawnych czasów, ale słyszeliście o nich od waszych ojców i odemnie, i wiecie przecie że nasze zaścianki słynęły zawsze z poczciwości. Wielu z was zapamięta jeszcze starego Jankla, co trzymał karczmę na gościńcu.

— A pamiętamy, ozwało się kilku ze szlachty pół głośno, jak by się bali przerwać staremu. I uważałem, że wszyscy słuchali go z wielką uwagą, a grono otaczające pana Józefa co raz się więcej zmniejszało, albowiem jeden po drugim szlachta wysuwała się cichaczem, przechodząc do drugiego stronnictwa, skupiającego się w koło starego Krzywdzica.

— I wiecie zapewne jakim sposobem spalił się on; będzie lat temu ze czterdzieści. Były to imieniny nieboszczyka pana Szymona Burczymuchy. Zeszło się nas ze trzydziestu do Jankla, a pan Szymon traktował, i nie po dzisiejszemu traktował. Janklisko biegał, i uwijał się, a krupniku nam napalił doskonałego. Już było koło północy, na dworze był wiatr ogromny, jakby się kto obwiesił, gdy nagle zapaliła się karczma od kupy słomy co leżała w stajni. Jakim sposobem wszczął się ogień, do dzisiaj nikt nie wie z pewnością, ale ot tak prawdę powiedziawszy, nie jeden z nas, gdy w głowach dobrze szumiało, łaził po przedsieni z krótką fajeczką. Kto tam wiedział, a może jaka iskra padła, bo to o nieszczęście nie trudno. My tam w pierwszej chwili nie myśleli o tem, bo nie było czasu. Porwaliśmy się do ratunku i szczerze ratowaliśmy, ale nadaremna była nasza dobra chęć; karczmisko było drewniane, sucho było na dworze, wiatr dął, nie minęło trzy zdrowaśki, a karczma cała była w ogniu. Dobrze żeśmy Janklowi bachorów i bety wyratowali. Żydzisków zabraliśmy do naszego zaścianka; a nazajutrz po świętej mszy, pan Szymon zaprosił nas do siebie, i każdy już wiedział o co idzie, bo każdemu ot tak coś w sercu klekotało. Nie długo my się namawiali, ale wzięli my się na prawdę i po uczciwemu do roboty, złożylimy się, obydwa zaścianki przyszły nam w pomoc, bo nikt nie chciał zostać w tyle. Jak tu jesteście, byli i tam wszyscy wasi ojcowie; dosyć że za cztery tygodnie stanęła nowa karczma. Janklisko aż płakał z ukontentowania i wdzięczności. Pan Szymon nieboszczyk, złote to było serce u niego, najwięcej z nas wszystkich łożył na to, co my nawet z razu nie wiedzieli, bo Janklowi het wszystko poskupował, co mu się tylko spaliło. I od tego to nawet czasu podupadł nieboszczyk Burczymucha na majątku, taj jego syn musiał się wziąć do rzemiosła, co jest przykro zapewne dla szlachcica, ale uczciwie, bo praca człowieka nie upadla. Otóż to tak panowie bracia postępowali wasi ojcowie z żydem niewiernym, z poganinem. A myż dzisiaj mamy się od ojców naszych różnić? ha panowie, cudzą krzywdą judaszowe brać pieniądze. Co panowie bracia!... Znam ja was lepiej... Pieniądze oddacie wy Ignacemu za jego woły, a będzie to nam wszystkim nauką, aby od dzisiaj nie brała nas pokusa do cudzego. Ignacy nie nasz, niech sobie robi co chce, niech sobie szuka takich nocnych liwerantów, gdzie chce, ale nie między nami herbowną i poczciwą szlachtą. Nie prawdaż panowie bracia.

— Oddać! oddać, zapłacić! dobrze mówi pan Krzywdzic. Niech sobie innych szuka Ignacy, co by mu tanie mięsa do szlachtuzy przyprowadzali, stawały się głosy coraz liczniejsze i głośniejsze.

Przemowa starego Krzywdzica nadzwyczajne sprawiła wrażenie. Szlachta już bez ogródki przechodziła na drugą stronę, tak że przy końcu sami już tylko zostali, pan Józef Lubasz i tych trzech co mię z gościńca zwrócili.

— Zapłacić! zapłacić, krzyczała szlachta.

Józef Lubasz z towarzyszami swemi stał w milczeniu, oczy mieli w dół spuszczone, chociaż widać było że obok wstydu i złość w nich kipiała. Nareszcie gdy gwar się wzmagał, podnieśli głowy i groźnie popatrzyli w koło siebie.

— Nikt nie ma nam nic do rozkazania, zawołał Józef Lubasz.

— To nasza sprawa z Ignacym, nikomu nic do tego, krzyknął drugi.

— My tu nie na kazanie, ale na sąd przyszli, mówił trzeci.

— Tak jest! sąd wydany i kwita, krzyczał czwarty.

— To nasza wspólna sprawa, wołała na to szlachta. Tak jest, to wstyd wspólny.

— Bez nauk, bardzo prosiemy, odpowiedział pan Józef.

I znowu zahuczał gwar między szlachtą, którzy to groźbą to prośbą starali się przełamać opór czterech przeciwników. Krzyk był taki, że jeden drugiego nie słyszał i nie rozumiał.

— Panie Ignacy! krzyknął wreszcie Lubasz, my tu nic mamy co już robić. Chodźmy do domu.

— To chodźmy, odrzekł skrobiąc się w głowę rzeźnik, który miał nadzieję, że przyjdzie do swojej straty.

Jakoż nie wdając się w dalsze spory, pan Józef zrejterował wraz z towarzyszami swemi. W czasie gwaru, stary Krzywdzic przysunął się do mnie, który stałem na boku, rzetelnie poruszony mową staruszka, i skonfundowany moim własnym wyrokiem, którego zaprawdę mocno się wstydziłem. Stary snać wyczytał mi to z twarzy, bo wziął mnie za rękę i potrząsł nią serdecznie.

— Panie Janie, rzekł do mnie, wy obcy nie mogliście inaczej osądzić, mnie staremu to co innego, ja mogłem wyciąć kapitułę do swoich. No a teraz już późno, dodał, dalej dzisiaj nie pojedziecie. Mam ja tu niedaleko za laskiem mój futorek, trochę oddalony od naszych zaścianków. Chodźcie do mnie, taj przenocujcie.. Nie wiele tam znajdziecie wygody w mojej ubogiej chacie, ale czem bohat tem rad...

I uśmiechnął się staruszek tak serdecznie do mnie, tak przyjemnie, że aż mi się łzy rozczulenia w oczach zakręciły. Zdało mi się że widzę przed sobą mego własnego dziadka.

Podziękowałem staruszkowi, i z radością przystałem na ofiarowaną mi gościnność. Jakoż pomału wysunęliśmy się z tłumu, i przystąpiliśmy do wózka mego, na którym Iwaś leżał z wytrzeszczonemi oczami. Biedny chłopak nic z tego co się z nim działo pojąć nie mógł, i niepospolitym strachem był przejęty.

— Paniczu! paniczu! oni nas zabiją, przemówił do mnie trzęsącym i płaczliwym głosym.

Ledwieśmy mu wyperswadowali, żeby zawrócił konie, i jechał za nami.

— Oni gonić będą za nami, biednaż moja dola, powtarzał ciągle biedny chłopiec.

Szliśmy czas jakiś w milczeniu, bo mimo całej sympatji jaką czułem do staruszka, nie śmiałem przemówić do niego. Mimo uprzejmych słów jego nie mogłem wybić sobie z głowy nieszczęsnego wyroku mego.

— Przykro mi i wstyd, ozwał się wreszcie stary, patrząc na mnie z uczuciem, żeś musiał być sędzią w takiej sprawie, i poznać naszą biedną szlachtę z takiej strony, która musiała cię oburzyć. Rozumiem ja to, bo ty jesteś młody mój Jasiu, z uczuciami czystemi, i nie znasz jeszcze, ani jak koleje życia wpływają przemożnie na usposobienia ludzkie, ani z jakich to kolei składała się przeszłość tych ludzi.

Nie będę ci ich tłumaczyć, a w oczy powiedziałem im prawdę, których w duszy potępiać musisz, ale tobie powiem to co się da za niemi powiedzieć. Warto byś znał tych ludzi, ich przeszłość, i powody co ich takimi zrobili, jakimi są dzisiaj. Bo ty sam należysz do nich, jednego z niemi jesteś pochodzenia. Nie taka to była ich przeszłość. Ta szlachta po małych zagrodach mieszkająca, miała też samą szlachetną przeszłość, jak i cała szlachta naszego narodu, bo tem samem uczuciem prawem dla kraju biły ich serca. Z nich to składały się zastępy broniące kraju, ich to piersi silne były puklerzem naprzeciw nieprzyjaciół. Bić się i zginąć za kraj, każdy był gotów, a nie brakowało w życiu naszem na sposobności do okazania tych zalet. Lecz czasy się zmieniły, a nie zawsze do czasów potrafią się nagiąć charaktery ludzkie. Chęci do życia czynnego, do awantur zostały gorące, przekonanie o szlachectwie i wyższem onego w społeczeństwie położeniu zostało, ale sposobności do takiego życia zabrakło. W głębi serca zalety dawne zostały, ale rzadko kiedy na jaw wydobyć się mogą. Bo widzisz serca u tych ludzi, serca u nas szlachty drobnej, jak tam u was w waszych Jelitowcach, tak i u nas w naszych zaściankach najlepsze, gotowe do wszelkich poświęceń. Ot tak jak ich widzisz, każdy ostatnią koszulę oddać gotów, a ci, co aż przykro wymówić kradną bydło cudze, to są chwała bogu rzadkie między nami wyjątki.

Westchnął stary, i ja mu szczerem wtórowałem westchnieniem. (C. d. n).

Wieczór w Apeninach.

(Sonety w Wallombrozie pisane.)

I.

Słońce się mieni, zapada, przemienia;
Spłonęło: światłem z po za gór się kurzy,
Cienie fijołka i odcienie róży,
Do złocistego mieszając strumienia.

Zakwita zachód: z każdego promienia
Mgła pije barwy i barwiąc się dłuży,
Sinawa u Apeninów podnóży,
Ich zpowietrzniałe szczyty urumienia.

Sosny na nieszpor zaszumiały, cienie
Z gór na pobliską spuszczają dolinę;
Dzwonek klasztorny tętni pozdrowienie;

Przetętnił, umilkł; zmierzch, ogromna cisza
Z gwiazd na italską upadła krainę,
I na pamiątki trapiące przybysza.

II.

Zachód był czysty, bezchmurny, z przestworza
Słońce znikało, rumieńcem zwilżone,
I w odbieżaną długo patrząc stronę,
Do Apeninów chyliło się łoża.

A gór wierzchołki jako fale morza,
Jak alabaster na wskróś przeświecone;
Różaną słońcu utkały zasłonę,
Za którą Piękność płoniła się Boża.

Kadzilne z jarów powstawały wonie,
Dzień się wypalał, a na góry skronie,
Nakształt wspomnienia, gwiazda wystąpiła;

A takie łzawe były jej promienie,
I łez też moich tak promienna siła;
Że gwiazdą we mnie zadrzało wspomnienie.

III.

Ognisty rąbek na łańcucha szczycie,
Jakoby wieniec płonie rubinowy,
Słońce za górą skryte do połowy,
W niepokalanym pławi się błękicie.

W różano-sinym, wieczornym rozświcie,
By kadzielnice dymią się parowy,
Od nich kadzielny zapach cyprysowy,
Bije do łona czarująco, skrycie.

Arno się wstęgą wijąc po dolinie,
Różano także i śrebrzysto płynie,
Obłędnie łowi zachodu odcienia;

Zarys gór stajał: nadeszła godzina,
W której sbóstwiona Italska kraina,
Wniebowstępuje — w ideał się zmienia.

Władysław Kulczycki.

(Pamiątka w książce podróżnych w Santo-Eremo dei Camaldoli) w Apeninach.

Kiedy rozbitek z gorzkiej burzy świata,
Do tej lesistej zawitasz przystani,
Kędy wśród ciszy ciche pędzą lata
Odrzutki ziemi, a nieba wybrani;

Gdy cię z tych wyżyn cień borów owionie,
Gdy chóry sosen zaszumią ci w uszy,
I chłód potoków odświeży twe skronie,
I od światowych mozołów osuszy:

To duch twój — bracie — zapragnie pokoju,
I pół-sennego w Panu ukojenia,
To do żywego tęsknić będziesz zdroju,
I do światłości, co jedna bez cienia.

To jak pustelnik na czucia odłogu,
Przed Wszechwidzącym odwiniesz twe rany:
Sromu nie doznasz, żeś je odkrył Bogu,
Bo Bóg choć święty — lecz Ukrzyżowany.

Władysław Kulczycki.

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Syrokomla ma zwyczaj, uprzedzać czytelnika w przedmowach do swoich utworów. Zachwala, gani lub prosi o pobłażliwość. Zły ten zwyczaj łagodzi naiwną spowiedzią, a z tego względu chętnie mu go przebaczamy. W przedmowie jednak do Margiera zbyt uniósł się radością swego dziecka, zachwalając je czytelnikowi. «Cokolwiek łaskawy czytelnik wyrzecze o Margierze uważamy go za najlepsze z dzieci naszego ducha.. Stopień roskoszy i boleści, jakich doznawał (autor) tworząc, może mu poniekąd służyć za skalę wartości utworu.» Gdyby zdanie podobne było prawdziwem, wtedy nie mielibyśmy nieudolnych dzieci na świecie, bo każda matka miarą swoich roskoszy i boleści mogłaby wynieść mądrość swego dziecka do mądrości Salomona. W ustach Syrokomli brzmi to bardzo naiwnie, lecz właśnie ta naiwność serca obok głębokich studjów świata, (czego dowodem jest jego szydząca ironia) charakteryzuje naszego poetę.

Ośmielamy się zaraz z góry powiedzieć autorowi, że nas Margier wcale nie zadowolnił, chociażmy różnych miar do ocenienia tego utworu próbowali.

Najprzód chybił poeta w samym wyborze tematu. Każde Epos musi mieć za podstawę to, co jeszcze żyje, chociażby cząstką tylko, choć jednym konarem. Tego zaś, co już niepowrotnie do szczętu wyginęło, nie można ogrzać do życia, ani nawet zgalwanizować. A taka jest dawna, przedchrześciańska narodowość litewska. Jestto wprawdzie rzadki przykład w historji, aby naród tak chętnie wyzuł się z dawnych swoich pamiątek, aby z nich żadnego wątku do dalszego swego rozwoju nie zatrzymał, ale tak się stało. Litwa przyjęła w siebie pierwastek Polski, i stała się z nią jednolitem ciałem. Serce Litwina uderza na wspomnienie Zygmuntów, Batorych, Czarneckich i Zamojskich, a o Kiejstutach i Olgierdach gawędzi sobie jak o bajkach. Z tego powodu uważamy ten poemat już w założeniu za zwichniony.

Bohaterstwo pogańskiej Litwy więcej przeuraża nas, niżeli skłania do uwielbienia. Spojrzyjmy na walczących:

Litwin zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
Odziera miecz od boku, szarpie hełm bogaty,
I płaszcze z krzyżem pańskim rozdziera na szmaty,
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony,
I targa i znieważa ostatki człowieka,
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka....

Trzeba całej znajomości historji, trzeba wiedzieć o tych wszystkich mordach, łupach i okrucieństwach, jakich na Litwie dopuszczali się Krzyżacy, aby tę dzikość szalonej zemsty litewskiej sobie wytłumaczyć. Nieuprzedzony w tym względzie czytelnik czuje zaraz na wstępie odrazę do bohaterów litewskich. Trudno nam także bliżej poznać bohatera pierwszego rzędu, Margiera, bo prawie przez cały poemat ugania się z toporem i morduje. Tylko na wstępie widzieliśmy łzę w jego oku, wylaną nad zwyciężonym nieprzyjacielem. Trafnie uchwycił poeta kontrast przyrodzonych uczuć człowieka z dogmatami pogańskiej wiary. Margier lituje się nad Warnerem i ocala mu życie, aby później na stosie ofiarnym jego krew bogom litewskim wytoczyć. Egle jestto ogólny rys kobiety, jaka żyła przed wiekami i po wiekach żyć będzie. Ani w niej ani w Lutasie nie widzimy szczególnego odbicia owych wieków Litwy, jakto autor w przedmowie powiada. W odwzorowaniu Krzyżaków widzimy te same rysy w jakich przedstawił nam ich Mickiewicz w Wallenrodzie. A przecież był to potwór o stu mieniących się barwach i postaciach, któryby dla wielu pisarzów mógł wiele i wiele różnych dostarczać wzorów. W budowie samej uderzają nas wielkie usterki. Poeta na trzy zawody wyprowadza bój na scenę. Męczy siebie widocznie i czytelnika, któremu na te wszystkie okropności w końcu odwagi zabraknie, jak zabrakło w końcu autorowi farb na palecie, aby ostatnią fazę walki z należytą siłą oddać. Zarzynanie się Litwinów na stosie w sposób, znamionujący dzikie, wściekłe barbarzyństwo, napełnia nas odrazą i wstrętem.

Przeczytawszy książkę czujemy jakiś niesmak, jakiś dreszcz, wywołany widokiem tylu trupów, i smutno nam, że

Potem rolnik zaorał niwę znakomitą,
I posiał na jej łanie chleborodne żyto....

Że z tylu gruzu i popiołu żaden fenix nie ulatuje, tylko na Niemnie zabłyśnie czasem »biała płachta topielicy Egli«..

Ganimy ostro, bo ganimy wytrawnego, utalentowanego pisarza. Wiele ustępów oddał po mistrzowsku, a do nich policzyć można poselstwo polskie. Język czysty i silny, chociaż tu i ówdzie niepotrzebne znajdują się epiteta. W niektórych miejscach nie miło uderzają nas reminiscencje z Wallenroda, jak np. zakończenie poematu. Tego powinien był poeta unikać.

Mimo wszelkich zalet swoich, języka, obrazowania, siły i świeżych często myśli, nie ma w tym poemacie Syrokomli, jak i w innych jego utworach, żadnej postaci, którąby nowością pomysłu uderzyć mogła, takich postaci, jakimi są: ksiądz Robak u Mickiewicza, a Mohort u Pola.

Dopokąd Syrokomla takich postaci nam nie stworzy, potąd będziemy uwielbiać jego talent, ale nie nazwiemy go geniuszem. Margier z wszelkiemi swemi zaletami, a jakich ma nie mało, pójdzie tą samą koleją losów, jaką poszedł Anafielas, o którym w swoim czasie wiele narobiono hałasu, a z którym młodsze pokolenie tylko w bibliografii się zdybie.

Gawędy i rymy ulotne. Kilka tomów drobnych, bardzo ładnych poezyi. Niebędziemy ich przechodzić szczegółowo, częścią dla szczupłych ramek naszych, w jakich zamyśliliśmy sobie dać wizerunek naszego poety, częścią dla tego, aby nie popaść w błąd powtarzania się tak, jak sam poeta często w swoich utworach się powtarza. Obawiamy się, aby Syrokomla nie popadł w manierę, bo już daleko na tej drodze postąpił.

Z jego «gawęd i rymów ulotnych» wybieramy tutaj: «Kęs chleba.»

Syrokomla napisawszy Margiera zasłabł na chorobę piersiową. Lekarze zakazali mu pisać. O któż zakaże poecie, aby nie marzył, nie nucił, nie kochał, nie tęsknił? Syrokomla ukochał publiczność swoją, tęsknił w dniach słabości, że jej dawno żadnej gawędy nie opowiedział, i wycieńczoną jeszcze od słabości ręką napisał «Kęs chleba» Tkliwe jego serce wita się z publicznością jak z kochanką, i rozpowiada jej o swojej chorobie:

Otom znowu przed słuchaczem,
Chętny z moją posługą,
Nie pytajcie: Czemu? za czem?
Gdziem się bawił tak długo!
Och cierpiałem, długo, srodze,
Dziś już piersi nie bolą,
Po staremu k' wam przychodzę
Z kęsem chleba i rolą...

Ale ten «kęs chleba» gorzki i niesmaczny, jak wszystko to, w czem są łzy poety:

Kiedym kreślił biedne dzieło,
Gwoli ducha potrzebie,
Z oczu parę łez kapnęło,
I zagorzkło na chlebie!...

A wiele takich łez ma Syrokomla, bo przez serce poety płaczą wszyscy ci, którzy sami przed światem płakać nie śmieją, lub skarżyć się nie mogą. Otoż «*Kęs chleba*» jestto jedna z tych wielkich skarg, którą wnosi poeta przed trybunałem świata imieniem biednego ludu, karanego za cudze grzechy i zdzierstwa.

Poeta utyskuje, że pisarze mogą się skarzyć na brak treści. Gdyście opisali rzeczy wielkie, woła do nich, weźcie mikroskop i połóżcie pod niego:

Główkę motyla, lub serce człowiecze
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze...

A znajdziecie tam wiele, co godne jest pieśni.
Co do siebie mówi poeta:

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba z mej wieczerzy,
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa,
Cała treść pieśni, żywotna i czuła,
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła!....

I w samej rzeczy czytamy z zachwyceniem dzieje tej drobnej okruszyny, jak jest ziarnem, trawką, kłosem, jak ją skrapia rosa boska i łza człowiecza, jak z woli Boga jest pokarmym zdrowym i trucizną, jeśli ludzi karać wypadnie. Następuje zdarzenie: W wiosce wielkiego pana gospodaruje dzierzawca, stary Łagoda. Chodzi z procesją na pola, polewa nasienie wodą święconą, z chłopkami żyje jak z rodziną. Toż starego Łagodę wszyscy kochają i życzą mu jak najlepiej. W tem zjeżdża komisarz pański, zarzuca Łagodzie że źle gospodaruje, że niszczy pola i budynki, liczy i likwiduje szkody i straty, a trzydziestoletniego dzierzawcę wypędza o kiju żebranym. Owoż pan komisarz Zabora zabiera się sam do gospodarki. Nie ma tam już ani wody święconej, ani procesyi, ani modłów w kościele o deszcz lub pogodę, ale jest za to sprężystość i oględność na wszystko, jest dobra orka, są kanały i spusty, jest plon obfity, ale są w nim..... łzy ludzkie.

Otóż stało się jednego razu, że zagrodnik Szymon wziął żyto u pana Zabory, a w domu wybuchła choroba. Znachora przyszedł, wziął chleb do ręki, zaklął go, a chleb sczerniał jak sadza. Rozłamał go, a w nim było czarne robactwo, łzy ludzkie. Drugi wziął żyto, a w domu nastała niezgoda i nastąpił rozdział między bracią. Piękna szesnastoletnia Hanna dostała od Zabory miarkę żyta na korowaj, i umarła w dzień swego ślubu, nawet i żebrak

. . . . o drewnianej nodze
Dostał kęs chleba i umarł na drodze.

Żyd kupił zboże od nowego pana rządcy, nasypał na wicinę i zatopił szczęśliwie, nie widząc wcale Gdańska. Sam autor wziął od miejskiego piekarza dwa bochenki, z tego żyta, aby się o tem przekonać. I przekonał się bo zasłabł, a przyjaciel jego spotwarzył go! Otóż cała treść tej prześlicznej gawędy.

Wkońcu zrywa się poeta, dla czego pan Zabora zdrów i wesoł, i tylko niewinni z jego chleba chorują? Wskazuje na palec opatrzności, której drogi są skryte i każe milczyć. Bo

. . . obcy ciężar wziął na swoje ramie,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała, lub spokojem ducha....

Wyższe wyroki zdaje poeta na Boga, który sądzi i karze sprawiedliwie.

Jeszcze kusi się Syrokomla zaglądnąć w serce pana Zabory, ale na to sam sobie odpowiada:

Czy pan Zabora gdy oko zamruża,
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u Anioła stróża,
Jemu wiadomo, a to rzecz nie nasza!

Takie jest zdarzenie na którym osnuł poeta swoją gawędę. Wiersz gładki, potoczysty, opowiadanie naturalne i proste, w postaci jednak tej błyszczą perły prawdziwej poezyi. Myśl wcale nie nowa, ale artystycznie odziana. Koniecznym grzechem wszystkich utworów Syrokomli pozostanie, że poprzestaje na słodkiem, półsennem gawędzeniu, a zaniedbuje akcją i postacie. Wpada w tok samych myśli, wprawdzie zaniedbuje pięknych i arcypożytecznych, ale myśli zawsze, którym potrzeba szat i postaci. Grzech ten wypływa z samej istoty gawędy. Dla tego z radością powitaliśmy Syrokomlę na nowem polu poezyi, na polu dramatycznem, jak to nam

Chatka w lesie: okazuje. Zdanie jednak nasze zachowujemy w tym względzie na później, póki w tym nowym zawodzie swoim dostatecznie się nie rozglądnie.

«Gawędy i rymy ulotne» Syrokomli mieszczą w sobie ładnych wiele rzeczy. Znakomite są: Kojec z Kurczęty, Kapral Terefere. Między mniejszemi wierszami celuje prawdziwem namaszczenim poetyckiem pierwszy z warjantów starych tematów. . (C. d. n.)

Listy z podróży.

I.

Kolini w zatoce *Kamieszu*, w lutym 1856.

(Ciąg dalszy).

Smutniejszy jeszcze los spotkał kolonje północne. Jedyne bogactwo ich, zboże nie miało więcej odbytu, bo Grecja biedna i wyludniona nie miała za co i nie miała potrzeby kupować bosforską pszenicę, a Rzym, mając Sycylją, Kartaginę i Egipt, nie potrzebował chodzić tak daleko. Bosfor, ciśnięty przez Barbarzyńców, wezwał był Mitrydata i wmieszał się do wojny rzymskiej. Mitrydat upadł. Farnaces przyznał opiekę Rzymu. Odtąd królowie Bosforu stają się igraszką polityki rzymskiej i kaprysu prokonzulów małej Azji. Państwo rozpada się na części i znika zupełnie w początku wieku IV. Jednakże, pieniądze rzymskie, znajdywane obficie z czasów Wespaziana, Trajana i Nerwy, każą myśleć, że w czasach tych istniały jeszcze ważne stosunki handlowe pomiędzy Rzymem a mieszkańcami Bosforu. Kiedy znikła Olbia, nie wiem, lecz zdaje mi się, że miasto to nie przeżyło napadu Wizigotów. Powstał Cherzones i dzięki położeniu swemu i bitności mieszkańców, przetrwał najdłużej. Handel Chersonezu zależał zupełnie od usposobienia mieszkańców stepowej części Krymu. Gotowie zajmywali się rolnictwem, [1]) Cherzones więc mógł prowadzić korzystny handel z powstającą Bizancją. Hunnowi dzicy i drapieżni, prócz wysilenia i bojaźni, nie mogli nic innego przynieść cywilizowanym sąsiadom swoim.

W połowie VI wieku (512), miasta greckie w Taurydzie, zagrożone przez hordy, koczujące na stepach, wezwały pomocy cesarzów Bizantyńskich. Justynian skorzystał ze zręczności tej i kraj cały objawił prowincją rzymską. Trzy wieki później (840), gdy cesarz Teofil nadał jej nowe urządzenia, prowincja ta obejmowała: Chersonez, cały brzeg południowy Krymu, Teodozją, Fanagorją i rozciągała się aż do ujścia Donu, gdzie Tana, miasto handlowe, było niejako krańcem jej. [2])

W VII wieku (679) Chazarowie owładnęli Krymem i całem pomorzem czarnomorskiem od Dunaju do Kubani. Miasta greckie, niewyzuwając się z władzy cesarzów, obowiązywały się płacić im daninę. Chazarowie wcale nie byli dziczą, jak zwykle wyobrażamy sobie północno-wschodnie hordy. Ś. Cyryl, wysłany przez Michała III. (858) w celu nawrócenia ich do wiary Chrześcijańskiej, zastał naród ten dość już wykształconym, posiadającym rząd stały, miasta, trudniącym się handlem i rolnictwem [1]) Cesarze wschodni wcześnie starali się w polityczne i handlowe wejść z Chazarami stosunki. Leon zawarł z niemi przymierze wspólnej obrony i dla silniejszego wzmocnienia stosunków przyjaznych syna swego ożenił z córką Kalgana. [2])

Handel wschodni podczas pobytu w Krymie Chazarów, na wysokim stojący już stopniu, na najwyższym szczeblu rozwoju stanął, gdy Pieczeniegi miejsce ich zajęli (882) Trudno odgadnąć, dla czego półdzicy prawie Pieczeniegi prześcignęli Chazarów w stosunkach handlowych! Niemyślę aby ostatnim brakowało zdolności przemysłowych. Chazarowie wyznawali judaizm, musieli zatem cokolwiek i natury posiadać żydowskiej. Zapewne ówczesny stan polityki wschodniej, jeżeli tak można nazwać stosunki i sympatyje hord półdzikich, zalewających wówczas Azją środkową, pomyślniejszym był dla Pieczeniegów. Bądź co bądź handel z Pieczyniegami rozwinął się na ogromną skalę: wszystkie bogactwa wschodu, perły, drogie kamienie, jedwabie, korzenie, i futra krajów północnych, jak z niewyczerpanego źródła płynęły z tąd do Bizancyi. Handel ów musiał wielkie przynosić korzyści, kiedy potrafił stanąć tak wysoko, pomimo tysiąca trudności i licznych niebezpieczeństw, grożących kupcom na każdym kroku. Pieczeniegi, powiada Konstanty Porfirogenita, byli półdzicy, okrutni, bez najmniejszego pojęcia o prawach, gościnności, poczciwości i sumieniu. Często, po zawarciu układów, kupcy byli ograbieni, nieraz pragnienie zysku przepłacili życiem lub zaprzedaniem w niewolę. Zapobiegając temu, zwyczajnie przed zaczęciem targu brano zakładników, lecz i to nie wiele pomogło: hordy jedna na drugą zwalały popełnione berprawia, żądać zadość uczynienia z bronią w ręku, nie było sposobu, a interes sprzeciwiał się zerwaniu stosunków. W przeciągu czasu tego Sohdaja (Sudet) podniosła się tak wysoko, że bogactwy zaćmiła stary Chersonez: całe południowe wybrzeże Krymu stanowił dzielnicę miasta tego.

Łatwo pojąć że w czasie, gdy handel zakwitnął na północnych brzegach morza czarnego, miasta Natolii, jeśli nie przewyższyły, to wcale nie ustępowały pod względem tym kolonjom północnym. Po przeniesieniu stolicy Cesarstwa do Konstantynopola, prowincje natolskie dostały urządzenie stalsze i zakwitły dobrym bytem. Wstrząśnienia religijne, podboje Arabów i Turków nie naruszały stosunków ze wschodem, a nawet, powiedzieć można, coraz bardziej powiększały takowe. Wiadomo nam z dziejów, że Turcy weszli do cesarstwa podczas wojen domowych, zaproszeni niejako przez jednę partją. Później, chociaż sprzymierzeńcy ci zawładnęli całą prawie małą Azją, i opodal od stolicy, w Nicei, nowe założyli państwo, Grecy nieprzestawali być z niemi w stosunkach przyjaznych. Podczas wojen krzyżowych polityka cesarzów przychylniejszą była dla Turków, jak dla krzyżaków w XII i XIII wieku; całe pułki Turków widzimy na żołdzie cesarskim. Bezimienny kronikarz księstwa Morei woła z oburzeniem: Grecy uważają się za chrześcian, chcą przekonać nas, że wierzą w Chrystusa, a tymczasam żyją w społeczeństwie Turków, je-

[1]) Jornandes. [2]) Konst. Porfyr. Chronique du Bas-Empire.

[1]) Zitia Światych. [2]) Konst. Porfyr.

dzą i piją z nimi i nigdy źle nie mówią o nich [1]). Do historii należy osądzić o ile polityka ta właściwą była wschodniemu cesarstwu, o ily ona przyspieszyła zgubę jego; dla handlu była ona bardzo pomyślna, i w całem przeciągu czasu, od założenia cesarstwa wschodniego do wojen krzyżowych, państwo wschodnie było w Europie jedynem handlowem mocarstwem. Na wodach morza czarnego, które w całej epoce było morzem greckiem, na Archipelagu i wschodniej części morza środziemnego, ześrodkował się cały ruch przemysłowy. Lecz niezważając na to, że handel ówczesny nader był ważny i obszerny, nie możemy go nazwać wschodnio-europejskim. Jedynie bowiem Bizancja była ogniskiem onego; reszta Europy drzemała jeszcze w grubej skorupie feodalizmu: handel jej ograniczał się małą frymarką w obrębach warowni miasta, o obszerniejszych stosunkach i myśleć jeszcze nie można było. [2])

Aby dokładnie pojąć i ocenić całą ważność i olbrzymie rozmiary handlu genueńskiego na morzu Czarnem, musimy zwrócić uwagę na wpływ, wywarty przez wojny krzyżowe na handel i rozwój cywilizacyi Europejskiej.

Najważniejszym skutkiem wojen krzyżowych było wstrząśnienie feodalizmu, wzniesienie się gminy miejskiej a tem samem i stosunków handlowych. Narody poznały się zbliska i składają odtąd jedno wielkie społeczeństwo, mające wspólne widoki i dążenia [3]). Miasta włoskie, a w pierwszym rzędzie Wenecja, Piza i Genua, zbogacone przewozem krzyżaków i dostawą żywności, formują przemysłowe morskie potęgi [4]). Żegluga wzbogaca się w środki i pomału wykształca się na umiejętność, powstaje taktyka morska, dając przewagę jakości nad ilością, i już w 1233 roku, stodwadzieścia okrętów weneckich pobiło na wodach Konstantynopola flotę grecką składające się ze trzystu okrętów. [5]) (D. n.)

[1]) Anonyme. Chronique des guerres des Francais en Romanie et Morée. Ducange Hist. de l'Empire de Constatinople sous les France. [2]) Guizot. Hist. de la Civilisation. Leçons VII et VIII. [3]) Guizot id. [4]) Giustiniani. Chronique genoise. [5]) Ducange. Notice sur la branche des Ville-Hordoin de Morée.

Rozmaitość.

*** Pilpla obrazy.** Dzienniki warszawskie wzmiankowały o Mojżeszu Pilplu, który przywozi do Warszawy stare olejne obrazy, skópjowane w Galicji i zwykł takowe tamże przedawać jako dzieła dawnych mistrzów. W ostatnich czasach nawet otworzył p. Pilpel rodzaj wystawy, która jednakże słusznie ocenioną została. Trafił bowiem Mojżesz Pilpel na znawców, którzy zdołali rozróżnić poodrabiane kopie od oryginałów. Pilpel jest Lwowianin, mieszkający w lichym zakątku krakowskiego przedmieścia, jednakże u nas nie znany prawie zupełnie, z tego powodu zapewne, że nie występuje tu ze swoim towarem gdzie łatwiej dójść można źródła, zkąd swoje skarby czerpie. Winniśmy jednak wspomnieć o tem głównie, że fabrykacja a raczej przerabianie tych kopij, często nawet dosyć dobrych, na oryginały, nie jest dziełem żadnego Lwowianina ani nawet nikogo w Galicji, gdyż Pilpel dopiero te obrazy, których nie może zbyć w Warszawie, do nas z powrotem przywozi i temi mętami swego warsztatu naszych mniej zamożnych lubowników malowideł częstuje.

*** Skąpiec gościnny.** Najniepodobniejsze namiętności, dość często krzyżują się z sobą w jednym człowieku, podobnie jak na morzu wieją niekiedy spółcześnie wiatry w przeciwnym kierunku. Sławny ze skąpstwa i pretensii artystokratycznych Pan* pełen był dowcipnych wybiegów, ilekroć się skąpstwo i duma zbiegały, i należało pogodzić te dwa sprzeczne żywioły.

Uczęstować gościa muzyką, odwiecznym jakimś sztambuchem, szklanką krynicznej wody na ciężkiej srebrnej tacy, cygarami domowego wyrobu, partją billardu *NB.* dzienną, wodną przejażdżką, przechadzką po ogrodzie, fabrykach, stajniach, owczarniach i t. d. udarować na odjeździe bukietem zesmutniałych już georgin, i usadowiwszy z pewnością do pojazdu, zapraszać na obiad lub nocleg — wszystkie te wynalazki wiekuistego przemysłu skąpstwa, nabywały nowego wdzięku od słów i niewinnej uprzejmości gospodarza.

Oto jeden z wielu przykładów.

W gorący dzień letni, zawitał do Pana* gość, takiej właśnie tuszy, z jaką najtrudniej jest na bożym świecie o tej porze roku. Gospodarz rad był bardzo łaskawemu sąsiadowi, ale widział jak na dłoni, że ani sposobu myślenia o bilarze lub oprowadzaniu po fabrykach.

Po kilku więc przygrawkach: o upale, urodzajach i wschodniej wojnie, rzekł uprzejmie:

— Ale czy nie życzyłbyś Pan trochę się odświeżyć?

— Bardzo chętnie. W istocie, tak jest gorąco!

— Hej! Jest tam kto?

Weszli dwaj służący w liberii jakby dziś uszytej.

— Otworzyć nam tu okna od strony północnej!— A ty każ stangretowi, aby pokazał człowiekowi Pana S...., gdzie się pławią konie?

— Chciej Pan być w tej mierze spokojnym — mówił dalej obracając się do gościa. Ręczam Pana z doświadczenia, że pławienie koni, choćby w największą spiekę, nigdy im nie szkodzi. Cały sekret na tem, aby zaraz skoro z wody, zaprzęgać, i dobrą milę ujechać sporym kłusem. Jeżdżąc rok rok-rocznie, właśnie w tym czasie, do wód, zdarza mi się czasem pławić konie po trzy i cztery razy na dzień: i nigdy nie miałem przypadku.

Łatwo zgadnąć, że spotniały Pan S..... który siedział przy otwartem od strony północnej oknie, i naturalnie lękał się wszelkich ciągów, mianowicie letnich — a przytem miał bardzo piękne konie własnego chowu, był ciągle jak na szpilkach i nie osiedział się długo.

W miarę oczywistych przygotowań do wyjazdu, gospodarz stawał się natarczywszym w propozycjach obiadu: nakoniec już na wsiadanem, upatrzywszy jakąś daleką chmurę na horyzoncie, zalecał furmanowi, aby przynajmniej starał się ściągnąć przed deszczem do *wygody*.

Było to nazwisko karczmy należącej do bohatera naszej anegdoty.

Nowiny lwowskie.

*** Dyrekcya gal: Zakładu ciemnych we Lwowie.** Odnośnie do ogłoszenia swego w gazecie lwowskiej z dnia 15go b. m. Nro 87 zamieszczonego, zawiadamia, że otwarcie wystawy obrazów na korzyść ciemnych, w wielkiej sali gmachu ratuszowego, gdy potrzebne ku temu przygotowania już w znacznej części poczynione, dnia 15 Maja r. b. nastąpi; ponawia przeto przy tej sposobności wezwanie swoje do osób posiadających znakomite dzieła sztuki malarskiej, aby takowe na czas wystawy do 15go Czerwca r. b. ograniczony, Dyrekcyi poruczyć raczyły, a zaręczając oraz za nieuszkodzenie onych, prosi najuprzejmiej o nadesłanie dzieł podobnych przed terminem do otwarcia wystawy oznaczonym, aby takowe w sali ku temu przeznaczonej, tem porządniej umieścić można.

Szlachetny i pełen ludzkości cel, na jaki wystawa ta urządzoną zostanie, spodziewać się każe, iż publiczność nasza, która nigdy dla cierpiących obojętną nie była, nie opuści i teraz sposobności: podania ręki jednym z najnieszczęśliwszych społeczeństwa członków!

* Do dzisiejszego Numeru dołączone jest od Towarzystwa muzycznego zaproszenie do subskrypcyi. Niezawodna, iż w kraju usiłowania o podniesienie sztuki muzycznej tem silniejszy znajdą odgłos, im więcej obecne starania dyrekcji zasługują na uznanie wszelkie. W krótkim czasie zaprowadzona została szkoła śpiewu i szkoła gry na skrzypcach i szkoła na organach. Oprócz tego rozpoczyna się wykład harmonii i kompozycji. Przy udziale żywszym całego kraju, w krótce Towarzystwo muzyczne rozwinie się w zepełne konserwatorjum muzyczne.

*Pan Wojciech Maniecki rozpoczyna od pierwszego Maja wydawać na nowo: Dziennik literacki; pierwszy Numer już wyszedł i na okaz rozesłany został.

Księgarnia Kallenbacha równie jak i wydawca zbiera przedpłatę.

Przyjechali od dnia 24. do 26. Kwietnia do Lwowa.

PP. Felix Kordoni z Kopani. Edw. Romaszkan z Podlipiec. Szymón Bohusiewicz z Tyśmienicy. Jakób Bohusiewicz z Kuty. Wacław Czerny z Glinian. Hen. Domaradzki z Uheroc. Le. br. Brunicki z Krakowa. Alex. Napadjewicz z Więckowic. Ant. Stasicki z Sądowej Wiśni. Tomasz Hajdler z Wistowic. Erazm Wolański z Ołomuńca. Józ. Torosiewicz z Wiednia. Roman Wybranowski z Dzwinogrodu. Rafał Osmulski z Sawczyna. Jan Osmulski z Nowosiółki. Alf, Rubczyński z Stanina. Teod. Rudnicki z Strzałek. Alex. hr. Czacki z Krechowa. Alex. Krasicki z W. Mostów.

PP. Mich. i Marceli Prawecki z Raju. Kornel Janicki z Tarnopola. Max. Laskowski z Lipnik. Józ. Hajwas z Pustomyt. Mieczysław Tretter z Dźwiniacza. Felix hr. Mier z Wulki. Wicenty Antoniewicz z Skwarzawy. Tadeusz Zatorski z Załuża. Nikod. Smarzewski z Artasowa. Jan Strzelecki z Kukizowa. Hip. Łączyński z Krakowa. Nik. Zawadzki z Krzywego. Marcin Szeptycki z Podhorzec. Stan, Starzewski z Derewnie. Antoni Głogowski z Bojaniec. Sta, Polanowski z Moszkowa. Józ. Nikorowicz z Sambora. Adam ks. Sapieha z Krakowa.

Wyjechali od dnia 24. do 26. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Adam hr. Potocki do Stanisławowa. Kon. hr. Zamojski do Żółkwi. Dr. Ziembicki do Podhajec. Tad. Turkuł do Tarnopola. Leop. hr. Starzeński. Nik. Kierski do Mszaniec. Raf. Mierzyński do Baryłowa. Stan. Rudkiewicz do Bełza. Teod. Charliński do Hrebenny. Teod. hr. Lanckoroński do Rawy. Stan. Białobrzeski do Dziedziłowa. Józ. Raczyński do Sędziszowa. August Żurakowski do Horbaczy.

PP. Onufry Biliński do Łukawca. Kazimierz Nowacki do Tejsarowa. Ant. Nahujowski do Czerniowic. Felix Pietrzycki do Stanisławowa. Teod. Rudnicki do Strzałek. Stan. Wolański do Brodów. Fran. Szymanowski do Spasowa. Karol Reuss do W. Mostów. Piotr Dobrski do Radruża. Leon Ostrowski. Jan Krasiński do Dembicy. Kajet. Guzkowski do Nowego miasta. Józ. Wiajewski do Możyłowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$102\frac{3}{4}$	Pożyczka 5% . . .	$85\frac{3}{8}$
Hamburg za 100 tal. branco	$74\frac{3}{4}$	Akcye banku	1109
Londyn za 1 funt szterl.	10.4	Kolej północna . . .	3005
Medyolan za 300 lirów	$102\frac{1}{2}$	Obl. ind.	$77\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$107\frac{5}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$5\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa .	$85\frac{5}{8}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	41	4	45
Dukat cesarski	4	45	4	47
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	84	30	84	40
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	77	15	77	45
5 proc. pożyczka narodowa	84	20	85	20
Śrebro	—	—	—	—

Lwów, 25. Kwietnia. Na dzisiejszem targu płacono:	po		do	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Korzec pszenicy ozimej	—	—	—	—
« Zyta	8	48	9	—
« Jęczmienia	7	36	8	12
« Owsa	4	24	4	48
« Grochu	—	—	—	—
« Hreczki	6	24	7	—
« Ziemniaków	4	24	4	48
Sąg drzewa bukowego . . . , . .	13	—	—	—
« Sosnowego	—	—	—	—
Cetnar siana	—	48	—	58
« słomy	—	40	—	42
Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty	—	—	—	—

Do dzisiejszego numeru dołączony jest **Dodatek** i zaproszenie od Towarzystwa muzycznego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.